ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 2 października 1909 r. № 40.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

28 Powieść historyczna.

Wiosna musi być już wiosną dokonania, wiosną spełnienia. Inaczej zresztą być nie może. Komitet wileński czeka sygnału z Warszawy, czeka na powrót emisaryuszów, — aleć to jest sobie mitręga statystów, która musi uledz, musi schylić głowę przed wiadomością, że Telsze ruszyły, że Żmujdź święta powstała. A tam, tam właśnie zacznie się—bo tam najpierw nakazano pobór rekruta, bo tam najżarliwsze kołaczą serca. Prusy podobno gwarantują neutralność, a to ważne—dowóz broni i amunicyi zapewniony tem samem i od granicy lądowej. W Wilnie spodziewają się lada moment bitwy nad Bugiem... Wielkie dni nadchodzą, zbliżają się...

Podkomorzyna, której cała myśl skupiona była na cierpieniem napiętnowanej twarzyczce hrabianki, za całą odpowiedź, przyciągnęła Emilię do siebie i szepnęła z wyrzutem:

— Dziecko drogie, — ty coś przede mną ukrywasz!.. W Wilnie byłaś, może u Ksawerego?!..

— Nie, cioteńko! klnę się, niestety... Pragnęłam, bo kto wie, czy i kiedy będę znów w Wilnie. Wyjechał na kuracyę...

— Więc co ci było? Powiedz. Toć godzi się powiedzieć mi!.. Oczy podsiniałe, głowa rozpalona... ręce wychudłe...

— Nic, nic, cioteńko! tydzień nie wyjdzie, a przyjdę do siebie, muszę przyjść. Teraz nie czas na kwękanie. Sił, sił trzeba, zdrowia. Zobaczysz, cioteńko, przekonasz się. Dość mi wytchnąć. Za tydzień ruszymy do Antuzowa. Ależ tak, bo Gasparowie czekają, wyglądają nas z upragnieniem. Należałoby nawet zaraz do nich napisać...

Podkomorzyna nie dała się jednak zwieść tem zagadywaniem.

— Emilko, przez pamięć na matkę, zaklinam cię, byś mi całą wyznała prawdę.

Hrabianka zadrżała, oczy jej zaszły mgłami, pochyliła się do rąk podkomorzyny i padła u jej nóg zemdlona.

VIII.

Hrabianka szybko wracała do sił, szybciej, niż sprowadzony z Dyneburga medyk zapowiadał, niż bodaj życzyła sobie pani podkomorzyna, która nie ufała tak rychłemu wyzdrowieniu i zabiegała usilnie, by Emilię conajdłużej w nakazanej przez lekarza klauzuli utrzymać. Emilia z początku ulegała żądaniom opiekunki, poprzestając na odbywaniu narad z Anetką Prószyńską i dyktowaniu listów. Chwilami jedynie, gdy wieczór zapadał, a Anetka powtarzała z zasmuceniem: „żadnej wieści, żadnego pisma, znikąd!“—hrabiankę niepokój nachodził. I wówczas nielada trzeba było perswazyi, nielada tłómaczeń, aby Emilię odwieść od myśli o natychmiastowej wyprawie do Dusiat, aby przekonać ją do spodziewania, iż jutro nie zawiedzie nowinami. Aż w pierwszych dniach marca hrabianka, nie doczekawszy się upragnionych wiadomości, zerwała się sama do pisania listów i rozsyłania konnych. Przyczem tyle okazała mocy i energii, iż pani podkomorzynie zbrakło woli do stawiania oporu. Co więcej, kiedy stara Kiermuszyńska poważyła się bąknąć, że pannie grafiance zdałoby się dłuższe wydobrzenie, podkomorzyna ofuknęła ją:

— Lada co prawisz! Tyś także z tych, którzy najpoczciwszą sprawę radziby w mazgajstwie pogrześć!

Już to wogóle podkomorzynę w stosunku do Emilii opanowała teraz zupełna powolność. Raz jeden tylko, po rozmowie z medykiem, podkomorzyna zagadnęła hrabiankę ze drżeniem w głosie:

— Dziecko drogie, i czemu to uczyniłaś? Czemu? Wiem o wszystkiem, wiem i ogarnąć nie mogę.

Powiedz, czemu spaliłaś mosty za sobą? Czemuś to uczyniła?

— Tak trzeba było; inaczej ofiara byłaby niezupełną, inaczej nie sprostałabym, nie podołała...

— Lecz zważ, kochanie, iż twe pragnienia szlachetne mogą się ziścić i bez pomocy naszego zakątka! Wszak sama nie negujesz, iż jedna nasza dywizya starczy za całą Dybiczową armię... Niechby inaczej, niech dopiero z sukursem pospolitego ruszenia rzecz się dokona... i cóż potem dla ciebie? jakaż przyszłość, los jakiż!?..

— Świetny, ciotcńko, piękny, błogi!—podjęła z zapałem Emilia. — Widzieć najdroższe sny spełnionemi, po latach mroku zbudzić się do zorzy, do wolności, mieć przed sobą nieobjęte łany do pracy owocnej, zbożnej, wdzięcznej... toć nie dość? A gdyby stało się, iż i ten zakątek inflancki, i Litwa, i Żmujdź, i Podole, i Wołyń do gotowegoby przyszły, dzięki zwycięstwu lub dzięki pokojowemu układowi.... więc stokroć więcejbym się radowała, bo niedoli mniej, bo mniej byłoby sierot... bo nie ambicyi, nie wyróżnienia własnego szukam.

Podkomorzyna rozpłakała się, jak dziecko. Emilia jednak tak płomiennie a tak serdecznie do niej przemówiła, tyle w słowa swe wlała wspomnień a dowodów tyle, iż, zanim łzy przestały ciec znanemi im dobrze brózdami, już blade oczy staruszki zalśniły pogodą, już rzewny uśmiech łzom drogę zagrodził.

— Przebacz, kochanie, daruj! Ot! widzisz, w moich latach trudno młodym myślom nastarczyć, trudno wyrzec się dawnych wyobrażeń... Boże ci błogosław!.. ale cóż, wstyd powiedzieć, wolałabym cię mieć inną...

Był to ostatni protest podkomorzyny. Od tej pory staruszka jakby ogłuchła, jakby nie wiedziała, co się wokół niej dzieje.

Tymczasem do Liksny przybył strzelec z Dusiat, od Cezarego i przybył z takiemi nowinami, że hrabiance dech zamarł w piersiach, że rezolutnej Anetce Prószyńskiej nie starczyło wartkiego słowa.

Pod Warszawą—pisał Cezary—bitwa była, bitwa okrutna, zawzięta, trzy dni trwała, krwawa bitwa, tysiące poległo... Dybicz w Warszawie! Takie wiadomości nadeszły z Wiłkomierza, ale nie należy im dawać wiary, boć wzięcia Warszawy nie trzymanoby pod korcem! Więc w tem fałsz, fałsz niezawodny, ale i to prawda, iż nie wolno dłużej mitrężyć. Z Telsz dotąd żadnego odzewu i znikąd odzewu. Michał Lisiecki wrócił z wesela swego z żoną i już się przypomniał z Porakiszek. Gotów iść w pierwszy ogień. U Morikoniego w Sóli zwiedziono wszystkie mosty dla tem spokojniejszego zbrojenia. Morikoni ekwipuje Lisieckiemu szwadron ułanów i legię ze śniadoskich strzelców. Mnóstwo szlachetnych wystąpień,—lecz cóż z nich, gdy kunktatorstwo studzi serca, niweczy zapały. Teraz cała nadzieja w Staniewiczu. Gdyby coś doniosłego zaszło, Cezary albo zaufanego wyprawi, albo sam przyjedzie, bo pisać coraz niebezpieczniej.

I znów po tym liście głusza zaległa Liksnę. Wszystko zdawało się jak co dnia układać, jak zazwyczaj w marcu i wielkim poście wlec. A bodaj ciszej nawet, ospalej, gdyż i folwarczne zabudowania czegoś opustoszały, i chaty wyludniły się, i majsterków zabrakło raptem, i strzelców dworskich nie było widać. Wzamian, kiedy Liksna zdawała się w coraz większem milczeniu się pogrążać, sąsiadujący z nią bór owsiejowski raptem ożywił się i zagadał tak dziwnemi odgłosy, jakby dzień w dzień obława z naganką w nim hukała ze strzelb, jakby w łonie boru sto młotów dzwoniło w stal. Mieszkańcy okoliczni podczas ani zważali na owo ożywienie się boru, nawet nie postrzegli, iż zwierzyna pomykała gromadami, ani probowali dociekać, czemu ładowne wasągi skradają się pod noc ku lasowi, ani pytali, poco grafianka Emilia co i raz rwie bądź saneczkami, bądź wózkiem do boru, dlaczego bór owsiejowski stał się miejscem ulubionych wycieczek i starego zarządcy, i jego córki, i kluczwójta, i samego księdza proboszcza. Lud bo okoliczny już z natury niemowny był i nieciekawy.

Jeden tylko strażnik ziemski, który w Magdzie tuż mieszkał, czegoś się zatrwożył o bór owsiejowski. Lecz że był człekiem osiedziałym zdawna, tedy, póty kluczył około boru, póty wypytywał się o to, co się w „Ausiejouce“ dzieje, aż z turbacyi wielkiej poszedł do zarządcy sumitować się a radzić, czyli ma, według rozkazu asesora, donieść, iż się w boru Polska buduje, czyli nie. Lecz ponieważ pan Prószyński okrutnie go zekpał, tedy strażnik, z lipków był, tak na ambit wziął, że tego samego dnia jeszcze zniknął w ciemni owsiejowskiego boru.

Ten drobny atoli wypadek stał się przyczyną nielada popłochu i zamieszania. Nie każdego bowiem z ciekawych, gadatliwych czy złych można było równie łatwo nawrócić, jak lipka-strażnika. Toć byle odzew mógł bór zdradzić, byle wyraz niebaczny sprowadzić doń dyneburski garnizon. Niechybnie było już komu stawić czoło, lecz przecież nie na to formowano oddział, aby boru bronił, aby dał się zdziesiątkować w miejscu swego poczęcia, aby miał zgasnąć, nie wznieciwszy pożogi, aby miał nie doczekać godziny wyzwolenia.

A tu wciąż wyglądanego znaku od grafa Cezarego nie było, a tu znów ani słychu.

Stąd wiadomość o rozprawie ze strażnikiem była ciosem dla hrabianki Emilii, bo nieomal najgorszych przypuszczeń stwierdzeniem.

Więc już echa boru owsiejowskiego gruchnęły po okolicy, już zdradziły swą tajemnicę, już poniosły ją. Cezary na dziesiątego marca gwarantował wyprowadzenie swego oddziału w pole, na dziesiątego kazał gotować się do wymarszu. Tymczasem był już siedemnasty. Chmury dżdżem wiosennym bluzgają, lód na Dźwinie kruszeje, słabnie. Drogi kałużami pluszczą. Roztopy mogą za byle cieplejszym podmuchem wiatru odciąć Liksnę, skazać ją na odosobnienie, a garść ochotnych wydać na zagładę.

DCN.

Władysław St. Reymont

MARZYCIEL.

— Tego to już nie poradzę wyrozumieć, żeby taki pan, taki nizinier, a szedł się uczyć do malarzów. Przecież, za przeproszeniem pańskiem, to wstyd dla takiego urzędnika! Jakże, taki nauczny, taki szlachcic, a będzie to skakał po drabinach, kiej wiewiórka i pendzlem zamiatał ściany! Na służbie też mu źle nie było: i krowy miał, i konie, i spory kawał ziemi, i uważanie, bo sam nieraz widziałem, jak naczelnik prowadzał się z nim pod pachę, panowie ze stacyi żyli z nim w przyjacielstwie, ksiądz dziekan przyjeżdżał na karty, a teraz będzie se takim łachmytkiem, takim prefesyantem! Chyba mu się cosik w głowie popsuło?

Józio parsknął śmiechem.

— A drugie znowu powiedają, co pan Buczek wyjeżdża do ciepłych krajów.

— Tam, gdzie pieprz rośnie i płoty grodzą cynamonem!—rzucił drwiąco.

— Ja ta nie wiem, kaj, powtarzam jeno za drugiemi.

— Brak mu po prostu piątej klepki.

— To samo pedział i pan zawiadowca. Juści, żeby rzucać taki urząd...

Józio już się nie odezwał, siedział schmurzony, jak noc, zazdrość ugryzła go w samo serce i z taką niechęcią myślał o Buczku, że skoro wreszcie dojechali na miejsce, odezwał się do dróżnika:

— Zobaczy, że wszędzie psi boso chodzą, i wróci, jak niepyszny.

— Juści, jeno co urząd czekał na niego nie będzie...

— Na starszego robotnika zawsze go przyjmą—wyrzekł wzgardliwie.

Dom Buczka stał w głębi sadu, przyparty szczytem do wielkiego lasu—i chociaż wszystkie drzwi i okna miał szczelnie zamknięte i pozasłaniane, już na plancie słychać było wrzawę i krzyki.

— Używa sobie bractwo, jak prosięta w deszcz! — myślał, wchodząc do przedpokoju.—Pan w domu?—spytał z wyniosłą miną służącego.

— Są wszystkie! Dyć się zabawiają, jaże się rozlega!—zaśmiał się głupkowato.

Istotnie, gdzieś w głębi mieszkania rozlegały się burzliwe śmiechy i gwary, ale jakoś nikt nie wychodził na powitanie, czem Józio poczuł się tak głęboko dotknięty, że już zamierzał się wynieść z powrotem, gdy nadbiegła Frania.

— Józio! Kruszyna moja! Najdroższy małpidrągu! — wołała, rzucając mu się na szyję.—Myślałam, że się już nie doczekam! Wspaniała biba, brakowało nam tylko pana!

— Widzę, nie traciłaś czasu, nasiąkłaś wódką, jak gąbka...—szepnął ironicznie.

— Czego się śmiejesz, kulfonie?—krzyknęła.

— Adyć panienka zadziała kajś pantofel i łyska gołą piętą, hi, hi, hi!..

— Poszukaj! Włóż mi na nogę i poszoł won!—rozkazywała, zanosząc się od śmiechu.

— Ledwie się już trzymasz na nogach.

— Tylko kapichnę, tylko kruszyneczkę piłam! — bełkotała, czepiając się jego ramienia.

— Chodźmy prędzej, głodny jestem jak wilk!

— Taki pan dzisiaj jakiś pachnący!—Pociągnęła nosem koło jego włosów.—Heliotrop, jak Bozię kocham! Zaraz, zaraz! kto mi to nim tak pachniał?.. Aha, Soczkowa! Czyżby?..

— Dajże mi spokój! — żachnął się niecierpliwie.

Zajrzała mu w oczy i szepnęła cichutko, z bolesnym wyrzutem:

— I pan się dał nabrać! Przecież to takie stare gracisko!

— Nie wtrącaj się do cudzych spraw!—mruknął zirytowany.

— Przemówił dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu!—wybuchnęła jakimś gorzkim, schrypniętym nagle głosem.—Prawda, cóż tam ja dla pana znaczę! Maciuś! Zgubiłam znowu pantofel!—zakrzyczała gwałtownie i pobiegła naprzód.

Z jadalni huknął potężny śpiew, aż się zatrzęsły ściany:

„Nasz sztandar buja...

— Cicho, burżuje! Przyjechał pan Józio! Cicho, psiakrew!—wrzeszczała Frania, ale napróżno, nikt jej nie słyszał, wszyscy już bowiem byli nieco pijani i śpiewali dzikim, bezładnym chórem. W pokoju było czarno od dymu i tak gorąco, że siedzieli rozmamłani, bez surdutów i kamizelek, pot się im lał po zaczerwienionych twarzach, ale oczy mieli rozpłomienione i jakby wniebowzięte; ryczeli ze wszystkich sił, tłukąc pięściami w stół i tak zapalczywie przytupując, że aż trzęsły się ściany, brzęczało szkło, a gdzieś w podwórzu wyły pieski. Mikado stał i, wymachując ręką takt, śpiewał najgłośniej i przytupywał najsiarczyściej. Brzuchaty dozorca drzemał rozciągnięty na kanapie i od czasu do czasu hukał swoim potężnym, byczym głosem, tylko jeden Kaczyński milczał, skulony w końcu stołu, zapalał gasnącą co chwila fajkę, pił kieliszek za kieliszkiem, przeplatając je szklankami piwa, i spluwał z coraz większą złością.

— Uważasz pan, co wyją, psia ich mać? Chyba się napijemy, co?—mruknął do Józia, który obok niego zabrał się do jedzenia, skwapliwie obsługiwany przez Franię.

— Można! Wykrzyczą się, to im ulży. Czy Soczka nie było?..

— Siedzi w kuchni, doprawia krupnik. Tęskno panu do niego?

— Mnie się już z tego bebechy wywracają do góry nogami. Chyba się napijemy, co?

— Gotowe. Słychać aż na plancie, żeby się tam nie znalazły jakie niepotrzebne uszy...

— Maciuś, spuść-no z łańcucha pieski, to przypilnują. Nalej, Franiu, piwa!

DCN.

Juliusz Zeyer.

STRATONIKA.

Fragment z helleńskiej romantyki.

7

— Biedny—myślał, ogarniając wzrokiem postać Seleuka, pełnią sił i polotem młodzieńca tworzy sny nowe, i całe serce swoje kładzie w swe marzenia, a tu nadzieja ucieka wciąż dalej i dalej—rozpada się i w nicość rozpływa... Nad którym z owych trojga nieszczęśliwych pierwej mam się litować? Nad królem, Stratoniką, czy Antyochem?.. Jaki koniec przeznaczacie temu wszystkiemu, o, wieczni bogowie!? Już nie trzy, ale cztery serca krwawić będą w męce, albowiem i to moje rani każdy cios, zadany tamtym!

Tak rozmyślając, Erazystratos pożegnał się z królem i pośpieszył na spoczynek. Ale już na korytarzu usłyszał poza sobą pełne lęku wołanie. Śniada niewolnica biegła za nim od strony gineceum, a rozpaczą rozbrzmiewał jej głos:

Śpiesz, panie! Ratuj! Zdaje się, że królowa umiera!

— Ciszej!—przerwał lekarz.—Niechaj nieszczęsny król cię nie usłyszy! — i pośpieszył w ślad za niewolnicą.

Stratonika, niby róża uwiędła, leżała na kobiercu w swej komnacie. Oczy jej płonęły gorączką, włosy rozsypywały się w nieładzie, szaty na niej były pomięte, a pozrywane z nich gwałtownie klejnoty rozrzucone dokoła.

Lekarz nachylił się nad leżącą i uniósł delikatnie piękną jej głowę. Łzy trysnęły z ciemnych jej oczu i poczęła szeptać nerwowo i namiętnie:

— Panie, ulituj się nade mną! Trucizny daj!... daj mi jadu, który bezboleśnie ukołysze mnie na nieprzespany sen. Zmęczona jestem, zmęczona śmiertelnie... i usnąć pragnę... na wieki!

— Co pogrąża cię znowu w bezdeń taki rozpaczy?!

— Lęk—załkała rozpaczliwie,—lęk przed tem, co mi niezwłocznie uczynić należy,—lęk i wstyd przed straszną, ciążącą na mnie powinnością.

— Jakaż to powinność? — indagował.

— Wyznać, wyznać wszystko królowi!—krzyknęła dziko, załamując dłonie.—Wszystko!... czy rozumiesz? Swój grzech, swą niewiarę, swój występek!

— Jesteś chyba zmysłów pozbawiona?!—oburzył się zatrwożony Erazystratos i w silne ramiona ją pochwycił, aby zamysłu swego nie mogła wykonać.

— Tak! szalona jestem!—odrzekła z goryczą—bogowie mi rozum odjęli. Straszna nienawiść ku mnie Afrodyty wtrąciła mnie w owo szaleństwo kochania, gdzie miłość jest występkiem! Puść mię! puść!.. Jeśli nie chcesz mi dać jadu, sama pójdę po swą karę!—wołała, szamocąc się w jego objęciu.

— Słowa nie powiesz o tem swemu małżonkowi! — rzekł z mocą, nie wypuszczając jej z uścisku.

Wyprostowała się i dumnem zmierzyła go spojrzeniem.

— Śmiesz mi rozkazywać!—zawołała oburzona, ale wnet duma jej rozpłynęła się we łzach rozpaczy.—O, jak ty mną pogardzasz, jak okropnie i jawnie mną pogardzasz, że sądzisz siebie upoważnionym ze mną do wszystkiego... do wszystkiego!...

— Dziecko jesteś!—wyszeptał lekarz ze współczuciem.—Ja chcę ci jeno nóż odebrać z dłoni, albowiem nie wiesz, co czynisz!

— Powinność swą spełniam—powtórzyła z uporem.—I pomimo zakazu twego ją wykonam! Powiem! powiem królowi wszystko!

— Ani słowa nie powiesz—zawołał lekarz surowo. Chceszże nie tylko siebie, ale i Antyocha zgubić?! Chceszże i Seleuka uczynić nieszczęśliwym?!

Patrzała na niego niewysłowioną grozą rozszerzonemi oczyma i stała drżąca ze złożonemi na piersiach rękoma.

— Zgubić?.. Antyocha zgubić!?.. Seleuka uczynić nieszczęśliwym!? — szeptała cicho, kryjąc twarz w dłonie.—Co mam czynić... co czynić!?—spytała po chwili, zwracając ku niemu załzawione oblicze.—Boję się!.. tak się boję!—skarżyła się żałośnie.

Była teraz prawdziwem dziecięciem, pomimo majestatu swego smukłego ciała, pomimo szlachetnej czoła wysokości i niezrównanej głębi swoich ciemnych, gorejących namiętnością oczu.

Erazystratos czule się do niej uśmiechnął i począł nalegać dobrotliwie:

— Przyrzeknij mi, że pozostaniesz w swej komnacie, że się położysz i będziesz starała zasnąć. Żadnej decyzyi nie podejmuj, czekaj ranka! Z nim nadejdzie zapewne pociecha i ukojenie! Los Antyocha i króla zdaj tymczasem w wierne ręce moje! Czy przyrzekasz prośbie mej zadość uczynić?..

Królowa skinęła głową z poddaniem i w wysokiem krześle zagłębiła swą pokornie pochyloną postać.

Tę noc Erazystratos spędził w komnacie chorego. Nie mógł nawet myśleć o wypoczynku—tak bardzo był rozdrażniony. Długo czuwał przy łożu Antyocha, wreszcie splątana jego myśl zatracać poczęła wyrazistość, a wola jego osłabła. Coś pośredniego między snem a czuwaniem nagle nim zawładło. Dusza jego, jakoby w śnie lunatycznym pogrążona, w mglistem owem majaczeniu jakowejś demonicznej mocy ulegała panowaniu, która to moc pchała go formalnie ku łożu chorego i rozkazywała wymusić z ust Antyocha wyznanie szczegółowe, dotyczące jego miłości. Erazystratos bronił się tej dominującej nad nim sile, a duch mroku, który rozciągnął nad nim władzę, szeptał natarczywie: „A może to wszystko jest jeno wymysłem dręczącego cię snu? Może ani Stratonika Antyochosa, ani on swej macochy nie kocha? Może ten chory młodzieniec wcale nie duchową zdjęty jest niemocą? Wstań, przyłóż ucho ku ustom chorego, a przekonasz się, że to wszystko jest tylko czczym wymysłem twym, Erazystratosie!"

Lekarz odganiał natrętne podszepty gorączkowego widziadła. Ale jakowaś złość tajemna i duma obrażonej ambicyi własnej rosły w duszy jego, olbrzymiały,—wreszcie, całkowicie niemi owładnięty, powstał z miejsca swego wypoczynku i skierował się do łoża chorego.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca przenikały komnatę i, rozjaśniając bladą twarz młodzieńca, delikatnym powlekały ją rumieńcem. Lekarz, prawie nieprzytomny, ujął gwałtownie za rękę śpiącego.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał chory, napoły ledwie przebudzony.

— Wyznania! — zawołał lekarz gwałtownie.—Sądzisz, że mnie okłamiesz? Ty cierpisz przez miłość! Miłujesz, gdzie miłować jest grzechem!

Antyochos powoli skłonił głowę i ciężkiem odpowiedział westchnieniem.

—Stratonikę! — zaszeptał lekarz, budząc się ze swego szalonego snu.

— Zgadłeś!—zajęczał chory i popadł w omdlenie tak głębokie, że Erazystratos lękał się o jego życie.

Przerażony następstwami swego czy-

nu, chwycił się rozpacznie rękoma za głowę.

— O, cóżem uczynił! — zawołał z goryczą.—Gdzież jest lekarz, któryby mnie teraz uleczył!?

Udało mu się jednakże przywieść do życia nieszczęśliwego młodzieńca. Kiedy poczuł wreszcie bijące jego tętna, a prawidłowy oddech chorego świadczył, że sen dobroczynny rozpostarł nad nim władzę,—Erazystratos cicho z komnaty Antyocha do ogrodów się wymknął. Minął ogrody i gaj, a zażywszy po onej przechadzce orzeźwiającej w rzece kąpieli, w głębokiej zadumie do pałacu powrócił.

— Tak, Seleukos jest z nich najsilniejszy! On najmężniej zniesie cios, przez straszne fatum mu zadany. Bądź co bądź, teraz nie pora się cofać, jeno działać!—Tak zakończył rozmyślanie swe Erazystratos i nie wzywany wszedł do komnaty Seleukosa. Król, ujrzawszy go, wielce się przeraził—twarz lekarza była bowiem niezwykle poważna i skutkiem całonocnego czuwania i niepokoju ogromnie blada. W jasnych i pogodnych zawsze jego oczach wielkie malowało się wzruszenie.

Z bijącem sercem zbliżył się do niego strwożony król.

— Złą wieść przynosisz... mój syn!..

Zachwiał się i opadł na krzesło.

— Twój syn, o królu... twój syn musi zginąć. Mówiłem ci już poprzednio, że choroba jego ma siedlisko w duszy, a teraz z całą pewnością to samo powtarzam. Twój syn umiera namiętnością silniejszą, niż moc płomieni, potężniejszą, niż morze... namiętnością, która tylu już ludzi, miast i krain do zguby przywiodła. Twój syn umiera z miłości, która nigdy zaspokojoną być nie może.

— Coś wyrzekł?!—zawołał król.— Gdzież jest owa niewiasta, którejbym ja, jeden z wielkich mocarzy tego świata, nie mógł dla syna mego pozyskać? Cała Azya niemal u nóg moich leży, skarby moje są niewyczerpane... i czyż to wszystko małą byłoby dla niej pokusą? Nawet tron, nawet berło i korona, ani nawet uroda syna mego? Czyż nawet prośby me korne nie znalazłyby w sercu jej oddźwięku?

— To wszystko, o królu, nic dla niej nie znaczy. Syn twój miłuje żonę mą! Zbadałem jego tajemnicę, aczkolwiek wybrał raczej śmierć, niż jawne do namiętności swej przyznanie się przede mną.

Seleukos stał znieruchomiały przez chwilę w zdumieniu. Nagle jednak ukląkł przez Erazystratosem i, kolana jego obejmując, zawołał:

— Na świętość wszystkich bogów zaklinam cię, przyjacielu, wysłuchaj cierpliwie gorącej prośby mej! Wiem, że żądam rzeczy, przechodzącej siły zwykłego człowieka, ale wiem także, jak wysoko, przyjacielu, ponad tłum się wzniosłeś. Zawsze byłem ci, o, Erazystracie, druhem wiernym i bezwzględnie oddanym. Ty miłością płaciłeś za miłość. Będąc sobie drodzy już, jako dzieci, staliśmy się, jako młodzieńcy, jedną duszą niemal w bezgranicznem umiłowaniu. Wysłuchaj mnie, Erazystracie! Żądam od ciebie ofiary, ofiary niesłychanej, nie tylko już dla szczęścia biednego, umierającego syna mego, ale dla całego państwa, które w dziecięciu mem wszystką pokłada nadzieję! Ocal go! Wróć mu życie! Oddaj mu tę, która sprawi, by nie uwiądł w młodości rozkwicie. Oddaj mu swą żonę, by, jak owoc niedojrzały z drzewa żywota, nie opadł do ziejącego ciemnością grobu!

Lekarz podniósł klęczącego, a wzruszony do łez wybuchem króla, przemówił łagodnie:

— Tego nie możesz wymagać ode mnie, przyjacielu! Jako ty Stratonikę, tak miłuję ja młodą żonę swą. Zdrojem życia, nadzieją przyszłości i smutnego „teraz“ pociechą jest mi ona! Czoło twoje chmurzy się pod słów moich brzmieniem, ale osądź rozważnie i bądź sprawiedliwy. Przypuśćmy, że Antyochos nie żonę moję, lecz Stratonikę ukochał... i że ja w tej chwili wołam ku tobie w rozpaczy: „Królu, ocal swe dziecię ukochane! Odstąp Antyochowi Stratonikę!..“ Cóżbyś mi wtedy, Seleukosie, odpowiedział?..

— Ach!—załkał Seleukos, gdyby bogom podobało się w ten sposób mnie doświadczyć i namiętność Antyocha od żony twej przenieść na Stratonikę, wtedy zobaczyłbyś, przyjacielu, z jaką radością dla ocalenia syna z kochania mego ofiarębym uczynił.

Słowa te wypowiedział król z takiem przekonaniem głębokiem i tak gorąco, że Erazystratos zdecydowany, za obie dłonie go pochwycił.

— Jeżeli mówisz szczerze, Seleuku, to nie potrzeba już synowi twemu ani Erazystrata, ani żadnego innego lekarza. Ty sam, który jesteś ojcem, mężem i królem, będziesz lekarzem syna swego i zbawcą swojego narodu! Bo oto nie małżonkę mą, ale Stratonikę miłuje Antyochos i... umiera...

Seleukos zachwiał się z bolu i długo słowa wymówić nie mógł. Wreszcie rozpogodziło się oblicze jego i ogromny spokój wyjrzał z jego oczu. Zbliżył się do przyjaciela i rzekł, obejmując go uściskiem:

— Tak, jestem ojcem i uratuję mego syna. Nauki, które z ust Kalanosa płynęły, nie pozostały jeno pustym dźwiękiem dla ucha mego. Jestem królem, władza nieograniczona, którą dzierżę w mych rękach, stanie mi za środek, ażebym dwoje ludzi szczęśliwymi uczynił. Teraz dopiero bielmo opada mi z oczu! Jakże mogło być dla mnie dotąd tajemnicą, co tak otwarcie koło mnie się działo?.. O! teraz jestem pewny, że i Stratonika go miłuje!

— Mówisz to z takim spokojem, przyjacielu!—wtrącił lekarz półgłosem— jakby grot zazdrości nie przenikał twej duszy.

— Zazdrość, o którą mnie podejrzewasz, mogłaby mieć jedynie swoje źródło w namiętności czysto zmysłowej, w ambicyi lub zawiści. Zmysły swe zdawna trzymam już na wodzy, ambitnym, jak sam to dobrze wiesz, nie jestem, a przecież o zawiść ku własnemu synowi podejrzewać mnie nie będziesz?..

— Zaprawdę, jesteś wielki!—zawołał Erazystratos z zachwytem.

Król w milczeniu uścisnął dłoń jego w podzięce.

— Dziękujmy bogom — dodał po chwili,—że posiadam moc wykonania tego, co się wydawać będzie całemu światu, wszystkim prawom i zwyczajom przeciwne. Teraz każdy z nas niech swą powinność spełni. Ty śpiesz i ostrożnie synowi memu oznajmij naszą rozmowę, a ja podążę do komnat królowej.

Lekarz posłusznie spełnił polecenie królewskie i tego dnia jeszcze powrócił rumieniec na bladą twarz młodzieńca, blaskiem zapłonęły jego oczy, a szczęściem rozpromieniało serce. Królowa, skutkiem wstrząśnień ostatnich dni i ogromnego rozdrażnienia, przez trzy dni nie opuszczała łoża, ozdrowiała jednak w porę, aby znów, jako bóstwo wschodnie, cała drogiemi kamieniami pokryta, ukazać się z nowym swym małżonkiem rozradowanemu ludowi, który z podziwem i zachwytem rozpowiadał o wspaniałomyślnej ofierze Seleuka i o Stratoniki i Antyocha wielkiem miłowaniu. Seleukos uroczyście wobec zgromadzonego ludu ogłosił syna swego królem owego tajemniczego kraju, słynącego bogactwy, z którego pochodziła jego

matka. Radość i uczty trwały dnia tego bez końca.

Seleukos przez cały czas uroczystości pozostał spokojny i z uśmiechem na ustach żegnał odjeżdżającą Stratonikę. Szczęśliwie wyszedł z boju ostatniego w swem życiu, które tak bogatem było w walki i zwycięstwa.

Królowa wszystkie swe niewolnice obdarzyła wolnością skutkiem wstawienia się za niemi Erazystratosa; przypomniał on sobie śród ogólnego wesela smętek i tęsknotę owej śniadej dziewczyny, która wraz z królową zawsze dla chorego leki przyrządzała.

Stratonice nie pozostawało już nic innego, jak ze samym Erazystratosem się pożegnać, któremu kochankowie zawdzięczali swe szczęście. Ze łzami wdzięczności ściskała jego dłonie królowa, a lekarz uśmiechał się dobrodusznie.

— Czy przypominasz sobie, Stratoniko—zapytał żartobliwie, —jakim to lękiem przejęło cię pierwsze ze mną spotkanie? Pamiętasz sen, w którym ujrzałaś mnie, urnę ci przynoszącego?

— A jednak sen się wypełnił! — zawołała radośnie królowa.—Czy wiesz, Erazystracie, że urna w twoich ręku posiadała kształt serca? I czyż nie otrzymałam serca mego męża, całe, nieskończone szczęście miłości, z twoich błogosławionych dłoni?!..

— O tym szczególe, że urna miała kształt serca, nie powiedziałaś mi wtedy ani słowa, a przecież tak drobiazgowo opowiadałaś nam swój sen, Stratoniko!—zauważył lekarz z uśmiechem.

Królowa zapłoniła się i rzekła zawstydzona:

— Tyś taki mądry, Erazystracie... wyjaśnij mi przeto owo milczenie, którego sama dotąd nie rozumiem.

— Nie jestem znów tak bardzo mądrym, abym umiał zgadywać wszelkie tajemnice; sądzę jednak, że nie omylę się, gdy ci powiem, że ów kształt urny, o którym przemilczałaś wtedy, zdał ci się tajemnym wyrzutem nieuświadomionej twej miłości, która istniała przecież we wnętrzu twem. Ty czułaś jeno niejasno, że należy coś skrywać przed światem. Serce twoje atoli dobrze wiedziało... co. Instynktowny lęk twój przede mną był jeno obroną serca tajemnicy.

— Sądzisz więc, że tłómaczenie mego snu było umyślnem kłamstwem, że nie wypływało ono z rzeczywistego snu przeze mnie zrozumienia?

— Bynajmniej! o, Stratoniko! Nie przypisuję ci podobnej winy—poważnie odrzekł lekarz. — Nie ty bowiem, ale serce ludzkie było i jest zawsze kłamcą i hipokrytą nawet wobec własnego wnętrza, w którem spoczywa. I serce najniewinniejszego dziecięcia ma takie tajne skrytki uczuć, których nie chce oczom wszystkich czynić widnemi.

— Ta obłuda serca stąd zapewne pochodzi—wtrącił Antyochos,—że ono stale w cieniu i mroku przebywa i nigdy tak jasno, jak oko, w światłość poglądać nie może.

— Ach, nie obmawiaj serca, Antyochu, jak to czyni Erazystratos—zawołała królowa.—Czynisz może wyrzut temu, które w mem wnętrzu spoczywa, że dla ciebie jeno biło? O! raczej wolałabym stracić oczy światłe, aniżeli serce, to serce twoje, o, mój ukochany!

— Teraz—rzekł Erazystratos, ściskając gorąco dłonie trzymającym się w objęciu małżonkom,—teraz wyrzekło twe serce najszczerszą, zaiste, prawdę, o, Stratoniko!

KONIEC.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

40

Ksiądz obserwował go.

— Czego tam patrzysz, Pawełku?—zapytał.

— Nic, nic — odrzekł chłopiec z wyrazem raptownym przerażenia, które niemal że go osłupiło.

I począł wykładać na wierzch szaty, niezbędne do obrzędu.

Właśnie w tej chwili wiatr wściekłej zahuczał i zatrząsł ścianami kościoła. Krucyfiks spadł na podłogę zakrystyi.

Ksiądz rzucił się naprzód, podniósł krucyfiks i stał, trzymając go w ręku. Spojrzał na ścianę i dostrzegł odrazu, iż gwóźdź, na którym był zawieszony krucyfiks, wypadł, zostawiając otwór. Odpadł w tem miejscu kawał tynku, być może, już kilka dni temu, i otwór się osłabił, przez co gwóźdź wypadł. Wytłómaczenie było proste i bardzo zrozumiałe. A jednak ksiądz miał uczucie, iż to, co nastąpiło, było katastrofą.

Gdy patrzał na krucyfiks, usłyszał w pobliżu lament chłopięcy. To kościelny zawodził.

— A co tam takiego, Pawełku?—zapytał.

— O, mój Boże! co to się dzieje! co to się dzieje! — wołało chłopię, zbite z tropu.

— No, cóż! oczywiście wiatr. Drży wszystko. Uspokój się—niema powodu do przestrachu.

Położył krzyż na stole. Pawełek osuszał łzy kułakami.

— Nie podoba mi się dzień dzisiejszy, nie podoba!

Ksiądz poklepał go po ramieniu.

— Pogoda cię rozstraja—rzekł z uśmiechem.

Atoli stan nerwowy dziecka jeszcze bardziej pogłębił jego uczucia przerażenia. Ubrawszy się, oczekiwał przybycia pary narzeczonych. Nie miało być ani mszy obrzędowej, ani muzyki, prócz „Marsza Weselnego", który miał wykonać na harmonium marsylczyk, pracujący w składzie daktyli, pragnący uczcić *mademoiselle* Enfilden za jej zasługi, położone dla kościoła i muzyki kościelnej. Androwski, jak to ksiądz stwierdził, był zapisany do Kościoła katolickiego, na zapytanie atoli księdza oświadczył szybko, iż nie jest praktykującym katolikiem i nigdy nie chodzi do spowiedzi. W takich warunkach nie mogło być mowy o mszy obrzędowej. Ceremoniał miał być krótki i prosty, i ksiądz był rad z tego. Obecnie zjawił się artysta na harmonium.

— Będę dziś grał jak najgłośniej, proszę dobrodzieja—rzekł,—tylko nie będzie miał mnie kto słuchać.

Zaśmiał się, poprawił szpilkę—metalowy wizerunek Joanny d'Arc—w błękitnym szaliku i dodał:

— *Nom d'un chien*! wiatr dzisiaj jest srogim drużbą weselnym!

Ksiądz skinął głową w milczeniu.

— Czy da wiarę ksiądz dobrodziej—ciągnął dalej mąż sztuki, — iż *mademoiselle* i jej małżonek wprost z kościoła ruszają do Arby na sam czas burzy. Batucz przygotował im palankin na wielbłądzie. Ciekawa rzecz, jak oni tam...

— Husz!—rzekł ksiądz, wznosząc palec ostrzegająco.

W kilka chwil potem stał już za kratkami presbiteryum i patrzał w twarz Domini. Wyglądała ona

dzisiaj, jak wspaniała amazonka, która mogła być zarówno wspaniałą mniszką, gdyby wstąpiła do zakonu. Gdy stała tak obok Androwskiego, ubrana w skromną suknię podróżną, ów odcień lekki w jej osobie junaka spartańskiego, który jej nadawał tak odrębną cechę, zmieszał się teraz, a nawet przeobraził się w kobiecość tak natężoną, iż była ona prawie bez hamulca, kobiecość, która miała ogień, wigor płomienny chwały, która stała się naraz wpełni świadomą swych sił i czynów, które nie tylko mogła pojąć, lecz i dokonać. Była ona cała miłością tryumfującą, kobietą bez lęku, bowiem czuła całym instynktem, że spełnia swe wielkie posłannictwo.

Androwski stał obok, lecz ksiądz nie patrzał na niego.

Wiatr szalał dokoła kościoła, szarpał wązkiemi oknami i rzucał na nie tumany piasku, co robiło wrażenie, jak gdyby czyjeś palce uderzały zajadle po szkle. Spłowiałe firanki drżały i wstążki czerwone, ozdabiające lichtarze, miotały się bez przerwy, jak gdyby pragnęły ulecieć stąd i złączyć się z mnóstwem rzeczy odmienionych, które wirowały w przestrzeni pod srogim tchem burzy.

Zuzanna, która była jednym ze świadków, drżała i poruszała nerwowo wargami.

Drugim świadkiem był mer Beni-Mory, doktór w średnim wieku, ubrany urzędowo w wieczorowe szaty podług francuskiego zwyczaju i wyglądający tak sennie, jak niedźwiedź pod koniec swej długiej śpiączki zimowej; trzecim—syn pani Armande, właścicielki hotelu, żywy młodzieniec, ze szpiczastą głową i myszkującemi czarnemi oczyma.

Ksiądz głosem urzędowym, który wskutek wzburzenia wewnętrznego był dziwnie niewyrazistym, zapytał Androwskiego i Domini, czy pragną pojąć siebie za małżonków, i usłyszał ich odpowiedzi. Głos Androwskiego dźwięczał twardo i zimno, jak lód, lecz głos Domini był czysty, jasny i ciepły, jak słońce, które znów będzie świecić w pustyni, kiedy burza przeminie.

Gdy zaręczyny te odbyły się pośród najzacieklejszego ryku wichury, ksiądz, panując nad straszną odrazą wewnętrzną, która go zdjęła pomimo chęci i dążności, by być tylko biernym sprawującym, wyrzekł te słowa wyroczne:

— „*Ego conjungo vos in matrimonium in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.*"

Wyrzekł te słowa, nie patrząc na parę, która stała przed nim— Androwskiego z prawej i Domini z lewej strony,—lecz, gdy wzniósł rękę, by pokropić ich wodą święconą, nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na nich—i ujrzał Domini promieniejącą, lecz Androwskiego, jak bryłę z kamienia. Ruchem, który wydał się księdzu wstrętnym w swej przymusowości, położył Androwski złoto i srebro na książce z obrączkami.

Ksiądz począł znowu, wolno, śród poszumu burzy, pobłogosławiwszy obrączki:

— „*Adjutorium nostrum in nomine Domini*".

Po odpowiedzi „*Domine, exaudi orationem meam*", po „*Et clamor*", „*Dominus vobiscum*" i „*Et cum spiritu tuo*", „*Oremus*" i idących po niem modlitwach, pokropił obrączki wodą święconą na krzyż i dał je Androwskiemu, by je wręczył Domini wraz ze złotem i srebrem. Androwski wziął obrączkę, powtórzył słowa obrzędowe „Obrączką tą" i t. d., a potem, wciąż z tą samą, jak się księdzu zdawało, ohydną przymusowością, wkładał ją ze słowami „W imię Ojca" na wielki palec obnażonej ręki swej narzeczonej, ze słowami „I Syna" na drugi palec, i ze słowami „I Ducha" na trzeci, a potem na czwarty palec. W chwili atoli, gdy należy powiedzieć „Amen", nastąpiła długa i ciężąca pauza.

— „*Amen*" — Androwski rzekł wreszcie.

Ksiądz spojrzał i począł odmawiać „*Confirma hoc, Deus*". I od tego miejsca aż do „*Per Christum Dominum nostrum, Amen*", które, jako że nie było mszy, zamykały obrządek, czuł się więcej panem siebie i odzyskał niejako spokój.

Zabrzmiał „Marsz weselny", gdy ksiądz składał życzenia młodej parze. Był w stanie uczynić to ze spokojem. Uścisnął nawet rękę Androwskiemu.

— Bądź dobrym dla niej — rzekł,—ona... ona jest dobra i zacna.

Ku wielkiemu zdziwieniu księdza, Androwski uścisnął mu naraz rękę gorąco, porywczo — i wtedy ksiądz dostrzegł łzy w jego oczach.

Długo w wieczór dnia tego modlił się ksiądz za wszystkich wędrowców w pustyni.

Gdy Domini i Androwski wyszli z kościoła, ujrzeli leżącego przed drzwiami wielbłąda, wyciągającego łeb i dziko rżącego. Na jego grzbiecie było *palanquino* z ciemno-czerwonej materyi, z daszkiem, naciągniętym na silne zgięte pręty, z firankami, które mogły być dowoli ściągane lub rozsuwane. Dokoła byli ludzie, jak jakieś widma gwałtowne śród wichru, pół tylko widzialne od piasków zawieruchy.

Wsparta na ramieniu Androwskiego, Domini, walcząc z wiatrem, przedzierała się ku wielbłądowi.

Po chwili siedziała już w palankinie razem z Androwskim u boku.

Batucz zbliżył się, żeby zasunąć firanki, lecz Domini wychyliła rękę i zatrzymała go. Pragnęła widzieć po raz ostatni kościół, ogród, obecnie przez burzę smagany, który pokochała.

Batucz spojrzał zdziwiony, lecz zastosował się do jej gestu i rzekł poganiaczom, by kazali powstawać wielbłądom. Poganiacz wziął kij i począł krzyczeć: „A-ah! A-ah!" Wielbłąd zwrócił łeb ku niemu, szczerząc zęby i rżąc z rodzajem pasyi żałosnej.

— „A-ah!" nawoływał poganiacz.—„A-ah! A-ah!"

Wielbłąd począł powstawać.

Gdy to się działo, z gromady ludzi, mieszkańców pustyni, ruszył naraz człek jakiś wprost na *palanquino*, wlokąc swój burnus i gestykulując obnażonemi rękoma, jak gdyby miał zamiar spełnić jakiś czyn ohydny. Był to wróżbita z piasku.

Gdy wielbłąd powstawał, wróżbita wykrzykiwał jakieś gwałtowne słowa po arabsku. Domini słyszała głos, nie mogła atoli rozróżnić słów.

Wiatr zakotłował się, ziarna piasku zatańczyły wirami dokoła jego ciała; wielbłąd począł się zwolna kierować z kościoła ku mieścinie.

— „A-ah!" — krzyczał poganiacz.—„A-ah!"

Głos jego śród burzy brzmiał, jak lament rozpaczny.

XVII.

Gdy głos wróżbity rozpłynął się na wietrze i mętny wir piaszczysty przesłonił już twarz jego szpetną i oczy przenikliwe, Androwski przeciągnął rękę i zasunął ciężkie firanki palankinu. Świat zniknął z oczu. Byli sami po raz pierwszy, jako mąż i żona, kołysząc się miarowo na grzbiecie tego zwierzęcia, którego nie mogli widzieć, którego atoli chód łagodny i jednostajny z każdą chwilą oddalał ich od ostatnich znamion cywilizacyi ku życiu wolnemu piasków.

Zamknęła oczy. Nie pragnęła teraz widzieć swego męża, ani dotykać jego ręki. Nie chciała mówić. Chciała tylko czuć ciągle, w głębi swego ducha, ten ruch stały i jednostajny, unoszący ją ku celowi jej pragnień ziemskich, iszczący prawdę cudowną, iż oto po

latach samotności, pustki i niemiłowania, bardziej okrutnego, niż nędza i niedola, szczęście, większe, pełniejsze, niż to, które można pojąć w chwilach największych udręczeń, rozbłysło w jej sercu. I jak lat ubiegłych trwożyła się czasami, iż czuje zanadto pustkę i osamotnienie życia, tak teraz była niemal strwożoną, iż czuje zbyt mało jego pełnię i blaski, bała się, by po dniach, gdy spojrzy wstecz ku tej chwili czarownej swego losu ziemskiego, nie uprzytomniła sobie, iż pojęła całą jego wagę wtedy tylko, gdy chwila ta już minęła, by nie stwierdziła, iż była szczęśliwą do granic możności szczęścia ludzkiego tylko wtedy, gdy szczęście to już się na przeszłość liczyło.

Ręka silna i ciepła zawarła jej rękę. Otworzyła oczy. W gęstym mroku palankinu ujrzała ciemną, dużą postać Androwskiego, siedzącego z podgiętemi nogami, w postawie, którą wytwarza osobliwość siedzenia, i podającego się lekko ruchom wielbłąda. Swiatło było tak ścmione, iż nie mogła widzieć oczu jego, ani jasno odróżnić jego rysów, czuła atoli, iż on patrzy na jej postać cienistą i iż myśl jego pracuje namiętnie. Czy, jak ona, Bogu dziękował za szczęście w milczeniu i teraz zapragnął ciała do złączeń z duchową słodyczą?

Pozostawiła swą rękę biernie w jego ręce. Androwski ścisnął ją mocno, potem zwolnił, potem znów ścisnął, powtarzając tę czynność z prawidłowością, którą zda się powodowała jakaś piecza. Domini zdawało się, że on ściska jej rękę, stosując się do uderzeń swego serca. Nie chciała mu zwracać ze swej strony uściśnień. Czując tak jego rękę, zamykającą jej rękę, to znów się otwierającą, była świadomą, iż, grając w stosunku dotychczasowym rolę dominującą, obecnie pragnęła być poddaną i, zapomniawszy o sile, i mocy, i władzy swej przyrody, powierzyć się w zupełności sile większej i mocy tego mężczyzny, któremu się oddała. Mniemała, iż gdyby go ujrzała poniżej siebie, zabiłoby to ją — i otworzyła usta, żeby mu to powiedzieć. Lecz coś w ciemnocie wietrznej wstrzymało jej słowa. Ciężkie zasłony palankinu miotały się bez przerwy; od zewnątrz dochodziło jęczenie jednego z wielbłądów, mieszające się z poszumem wiatru, i nikłe dźwięki głosów nawołujących arabów, którzy je prowadzili. Nie był to czas do mowy.

Myślała, gdzie są obecnie, w jakiej stronie oazy, czy już wjechali na początek wielkiej drogi, która ją zawsze urokiem więziła i która obecnie była drogą celu wszystkich jej ziemskich pragnień. Nic atoli nie oznajmiało jej o tem. Jechała światem zmroków, z pyłu wszczętym i z ryku wichury, i w tej ciemności i w tej zawierusze, sprzymierzonej z powolnem i pieściwem kołysaniem, straciła rachubę czasu. Nie miała zgoła pojęcia, ile już czasu upłynęło od chwili, jak wraz z Androwskim opuściła drzwi kościelne. Zrazu zdawało jej się, że to tylko parę minut i że wielbłądy mijają dopiero pomnik kardynała. Potem zdało jej się, że może już godzina albo i więcej; że ogród hrabiego Anteoniego był już daleko poza nimi i że, być może, jadą obecnie wzdłuż wązkiej drogi w Starej Beni - Morze, niedaleko skraju oazy. Czuła, iż pustynia winna jej oznajmić, kiedy już ją weźmie w swoje posiadanie. Jakżeby to mogło być, żeby ją wzięła w swe łono i żeby ona o tem nie wiedziała. Pragnęła atoli, by i Androwski wiedział o tem. Czuła bowiem, że chwila, w której pustynia ich zabierze, męża i żonę, jest wielką chwilą w ich życiu, większą nawet, niż ta, kiedy się spotkali w błękicie nieba. I poczęła nasłuchiwać z natężoną uwagą i oczekiwaniem tak zwartem i tak natężonem, iż aż jej ciało przeszyło i mięśnie jej odrętwiło.

DCN.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Polonica.

× W ostatnim zeszycie (z dn. 15-go września) dwutygodnika *La Revue*, wychodzącego w Paryżu pod redakcyą Jana Finota, znajdujemy artykuł p. t. „Stanisław Wyspiański". Autorka, pani M. Rakowska, w treściwym szkicu dała czytelnikom francuskim syntezę twórczości znakomitego poety, wyjaśniła przewrót, jaki za jego sprawą nastąpił w teatrze polskim,

× „Dar grunwaldzki" odbił się głośnem echem we Włoszech. *Gazetta di Venezia* w numerze z dn. 15-go września zamieściła entuzyastycznie napisany artykuł, w którym zaznajamia czytelników włoskich z całym przebiegiem akcyi zbierania składek na dar grunwaldzki, jako odpowiedzi na odezwę poety niemieckiego Roseggera. Dziennik włoski zachwycony jest wynikiem tej akcyi, którą uważa za najwznioślejszy poryw ducha patryotycznego, godny ze wszech miar naśladowania. Znaczenia temu ruchowi dodaje, zdaniem *Gazetty di Venezia*, nie tyle wynik pieniężny, imponujący zresztą ogromem, ile fakt, że w składaniu ofiar uczestniczą wszystkie warstwy narodu, przedstawiciele jego myjśli politycznej i rządu, jak marszałek krajowy, wszelkie instytucye autonomiczne i prywatne, pisarze polscy i inni.

Z literatury angielskiej.

× *D-r Emil Reich*. „*Nights with Gods*". („Noce z bogami"). Te noce w towarzystwie bogów przepędzone są w znacznej mierze ostrą satyrą na dzisiejszą kulturę angielską. Autor zgromadza dawnych bogów i największe umysły starożytności i każe im omawiać stosunki polityczne, społeczne, naukowe i religijne w Anglii. A zgromadzenia te odbywają się na Forum i Colosseum w Rzymie, na pagórkach Florencyi lub na pałacowych ulicach Wenecyi.

Słyszymy z ust Arystotelesa wyszydzanie specyalizującej uczoności uniwersyteckiej. Dyogenes i Platon wypowiadają swe zdanie o Tołstoju, Ibsenie i Shaw'u. Dyogenes znajduje w ich dziełach poparcie swego cynicznego światopoglądu, Platon uważa ich za zwiastunów wielkiego rozkładu. Z gorzką satyrą mówi Alcybiades o kobiecie Anglii dzisiejszej, przedstawiając ją jako mieszaninę fałszywej pruderyi, pogoni za blaskiem i wrażeniami w wysokiem towarzystwie, czczości duszy i wynikającego z próżności awanturniczego dobijania się o prawa wyborcze.

Ciekawy bardzo rozdział stanowią rozprawy o religii, prowadzone przez Sokratesa, Dyogenesa i Platona. Sokrates mniema, że teologia dzisiejsza uważa religię za kwestyę dokumentów dowodowych, tak, jak gdyby chodziło o umowę kupiecką. Teologowie dzisiejsi są prawnikami, badającymi dokumenty, nie zaś umysłami religijnymi. Dyskutujący mędrcy ośmieszają dążenie do nadania religii podstawy przyrodniczej i przepowiadają religię nową, opartą na „Eliziogramach" — nieustających doniesieniach z Elizeum. Platon przychodzi do wniosku, że dzisiaj, jak zawsze, życie praktyczne nie pożąda prawdy, lecz „efektologii", podrażnienia nerwów. „Humbug" polityczny piętnuje d-r Reich w drastycznej mowie Cezara, który opowiada o rozprawach w izbie gmin.

D-r Reich jest bystrym obserwatorem, a oryginalne dzieło jego obfituje w trafne i dowcipne uwagi i spostrzeżenia.

TREŚĆ NUMERU 40-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Stratonika. *Juliusz Zeyer.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, №8

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie